

## **Juliuszek i przyjaźń**

**Autorka: Lena Pajęczycza**

Pewnego dnia wychowawczynie, do której wszyscy w klasie mówili po prostu "proszę pani", powiedziała coś bardzo ważnego. Juliuszek od razu się tego domyślił, ponieważ pani zaczęła energicznie kiwać palcem. A gdy palec wędrował w górę, znaczyło to, że pani właśnie mówi coś, co koniecznie należy zapamiętać.

Juliuszek wytężył wzrok, słuch i wszystkie siły. Od tego natężania aż zaczęły mu łzawić oczy. Na dodatek zapomniał zamknąć buzię – co zdarzało mu się dość często – i zaraz wleciała mu do niej jakaś, najwidoczniej ciekawsza, mucha. Dobrze, że była to mała mucha. Takie rzeczy też się zdarzały, na szczęście znacznie rzadziej. Juliuszek rozejrzał się po sali i z ulgą stwierdził, że chyba nikt nie zauważył tej wpadki.

Wszyscy patrzyli na kiwający się wymownie palec wychowawczynie, udekorowany długim pomarańczowym paznokciem. Pani co tydzień miała paznokcie w innym kolorze. Niektórzy chłopcy z klasy próbowali te kolory zawczasu odgadnąć, a nawet robili zakłady o czekoladę. Juliuszek nie brał w tych rozrywkach co prawda udziału, ale zawsze wyobrażał sobie, że najładniej wyglądałyby paznokcie koloru chabrowego.

To był jego ulubiony kolor. Taki sam, jak kolor oczu jego mamy. O ile dobrze pamiętał, oczywiście. To właśnie mama opowiedziała mu kiedyś, że taki odcień niebieskiego nazywa się chabrowym. Mówiła też wtedy o wielu innych odcieniach czerwonego, żółtego, zielonego; niektóre były o śmiesznych, a inne o skomplikowanych nazwach. Na przykład indygo, wcale niemające związku z indykami. Albo magenta, czyli taki różowy, że aż bolały oczy. Albo ultramaryna, przy której zawsze plątał się język. Było ich mnóstwo, tych odcieni, cała masa. Więcej niż kolorów na jego tabliczce z farbami.

Juliuszek nie miał wielu wspomnień o mamie, ale ta rozmowa szczególnie utkwiała mu w pamięci. Może było tak dlatego, że jedli wtedy brązowe lody w wielkich kulkach, które smakowały jak orzechy? (Mama nazwała ten kolor: umbra). A może dlatego, że była to jedna z ich ostatnich rozmów, zanim mama zachorowała? Potem, gdy kilka razy pozwolono mu zobaczyć ją w szpitalu, zawsze był tam jeszcze ktoś inny – ciocia, druga ciocia, wujek i przewijająca się po kolei cała brygada pań w białych fartuchach. W takich warunkach nie dało się swobodnie mówić ani o kolorach, ani o żadnej z tych innych Niesamowitości (tak nazywała je mama), o których niegdyś, tylko we dwójkę, potrafili gawędzić całymi godzinami.

A cóż to były te Niesamowitości, zapytacie? Och, to mogło być wszystko. Świat zawierał ich mnóstwo i niekiedy wystarczyło tylko trochę dokładniej się przyjrzeć, żeby je znaleźć. Mama umiała to bardzo dobrze. Czasem potrzeba jedynie nieco wyobraźni – mówiła – żeby wśród najzwyczajniejszych Zwykłości znaleźć Niesamowitość, której nie zauważy nikt inny.

Według cioci Alicji wyobraźnia była jedną z rzeczy, jakich Juliuszkowi stanowczo nie brakowało. A nawet, co stwierdzała czasem z głębokim westchnieniem, miał jej tak dużo, że niemalże uszami mu się wylewała. Juliuszek wiedział naturalnie, że to tylko żart, ale... na wszelki wypadek starał się nie ruszać zbyt gwałtownie głową, a nawet nie biegać za szybko, żeby mu przypadkiem wyobraźnia z niej nie wypłynęła. Nie znalazłby przecież wtedy już nigdy żadnej Niesamowitości, więc nie mógł do tego dopuścić.

Dzisiaj był poniedziałek i naturalną kolejną rzeczą kolor paznokci pani wychowawczynie magicznie zmienił się z czerwonego na pomarańczowy. Juliuszek próbował sobie przypomnieć, jak nazywały się różne odcienie pomarańczowego, ale do głowy przychodziły mu tylko "rudy" i "ceglasty", z których nie był do końca zadowolony. Trzeba będzie poprosić w domu wujka Marka (wujek znał się na kolorach, bo dużo malował), żeby pokazał mu odcienie pomarańczowego na

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

laptopie – pomyślał, ale zaraz o tym postanowieniu zapomniał, ponieważ pani właśnie zaczęła kiwać palcem. W takich momentach należało się skupić i słuchać. Niekoniecznie otwierać przy tym buzię, ale to już był, jak mówili ciocia z wujkiem, efekt uboczny. Czyli coś, na co nie miało się żadnego wpływu.

Juliuszek nie mylił się. Pani rzeczywiście opowiedziała dzisiaj klasie o czymś bardzo ważnym. Chodziło o przyjaźń.

Jak się okazywało, dobrze było mieć przyjaciela. Albo przyjaciółkę, wszystko jedno. A najlepiej prawdziwego przyjaciela. Wtedy, jak wyjaśniała pani z przejęciem i ślicznym blaskiem w zielonych oczach, wszystko stawało się fajniejsze, lepsze, a nawet łatwiejsze.

Juliuszek pomyślał nad tym przez chwilę i musiał przyznać pani rację. Gdyby wszystko stało się nagle fajniejsze, a nawet łatwiejsze, to rzeczywiście można by to było nazwać zdecydowaną poprawą. Od razu przypomniał sobie, kto używał takiego określenia. Tak mówiła mianowicie jego druga ciocia, Monika, która zamiast brwi miała dwie cienkie kreski. Nie ulega wątpliwości, że jest to zdecydowana poprawa. Właśnie tak, kiwając z przekonaniem głową, odpowiadała za każdym razem, gdy ciocia Alicja pytała: Jak tam ten twój nowy chłopak? Ciocia Monika często miała jakiegoś nowego chłopaka. Kiedyś zagadnął, bo bardzo go to ciekawiło, po co jej tylu tych chłopaków i co oni takiego poprawiają – czy też może naprawiają, w końcu w domu ciotki często było coś zepsute – na co ciotka odpowiedziała ze śmiechem: Poprawiają mi humor. A potem dodała, już nie śmiejąc się: Nie jest łatwo znaleźć tego właściwego... wszyscy po pewnym czasie okazują się być tacy... tacy zwykli. Na co Juliuszek, który przypomniał sobie Zwykłości i Niesamowitości, odparł, postanowiwszy wspaniałomyślnie podzielić się z ciotką swoją wiedzą na ten temat: Bo do tego trzeba mieć trochę wyobraźni.

I nie zrozumiał, dlaczego obraziła się na niego tak bardzo, że poszła na balkon i wypaliła aż trzy papierosy pod rząd. A ciocia Alicja przez cały wieczór patrzyła na niego z wyrzutem. Tylko wujek Marek chichotał jeszcze kilka razy pod nosem, gdy żadnej z nich nie było w pobliżu.

Wychowawczynie wyjęła z szafki papier, mnóstwo kolorowych kredek oraz farb i poprosiła, żeby dzieci namalowały lub narysowały swoich przyjaciół. No i wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Trzeba tutaj zaznaczyć, że takiego zadania Juliuszek w ogóle się nie spodziewał. Ale nie tylko to. Najgorsze było, że nie miał bladego pojęcia, jak się do niego zabrać. Bo widzicie, trudność, która pojawiła się tak nagle i niespodziewanie w poniedziałkowe przedpołudnie polegała na tym, że chłopiec jeszcze nigdy nie miał przyjaciela. Ani prawdziwego, ani żadnego innego. Co więc miał narysować?

Siedział zatem nad pustą kartką i dumał, jak by tu rozwiązać ten problem. Długo tak myślał, ale nic nie chciało mu przyjść do głowy. Może było tak dlatego, że miał jeszcze taką małą głowę? Nawet jego nie tylko bujna, lecz wręcz przerośnięta (według cioci Alicji) wyobraźnia nie przychodziła mu z pomocą. A może było jej tyle, że nie mieściła się i już wylała? Może stało się tak poprzedniego wieczoru, kiedy, zapominając o ostrożności, z werwą (i niemożliwym – to znów ciocia Alicja – rozbryzgiem) zanurkował w wannie? Juliuszek nawet otworzył ukradkiem buzię, najpierw tylko trochę, a potem szerzej, z nadzieją, że być może w ten sposób zachęci wyobraźnię do powrotu, ale, niestety, nic to nie dało. Rozejrzał się więc zrezygnowany, żeby zobaczyć, co rysowały inne dzieci.

Wszyscy siedzieli razem przy wielkim stole, więc nietrudno było podglądać – chociaż, jak wytłumaczył mu wujek przed rozpoczęciem roku szkolnego, może jest to zachowanie pasujące do przedszkolaka, ale już na pewno niegodne porządnego pierwszoklasisty. Juliuszek wziął to sobie do serca i dlatego nigdy nie ściągał od innych. Jednak tym razem sytuacja była wyjątkowa i należało zastosować wyjątkowe środki.

Jareczek obok niego rysował wóz strażacki. Nic dziwnego, bo takie wozy i w ogóle samochody

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

różnego rodzaju Jareczek rysował zawsze – nieważne, jakie zadanie dała im pani. Bliźniaczki naprzeciwno, Jasia i Kasia, rysowały siebie nawzajem. Choć niewykluczone, że każda z nich rysowała swoją podobiznę. Trudno było powiedzieć. Jasia i Kasia wyglądały tak samo. Karolek z wyciągniętym językiem i wypiekami na buzi rysował mamę i tatę, Agatka malowała różową farbą ulubioną lalkę, a Maciek trudził się nad portretem swojego psa, który niezbyt mu wychodził. Jamnik wyglądał trochę, zdaniem Juliuszka, jak nadmuchany balon z czterema łapami.

To wszystko w niczym nie pomogło. Juliuszek nie miał ani rodzeństwa, ani psa, ani rodziców, zatem te opcje nie wchodziły w grę. Tak powiadała zawsze ciocia Alicja, gdy chciał obejrzeć więcej niż trzy bajki naraz, albo kiedy próbował iść spać bez mycia zębów. Taka opcja absolutnie nie wchodzi w grę – mówiła ciocia, bez precyzowania, o jaką grę chodzi, a oznaczało to po prostu: Nie ma mowy. Lalek rysować, rzecz jasna, nie miał zamiaru i nie sądził, że udałoby mu się namalować coś tak skomplikowanego, jak wóz strażacki. Zresztą uważał, że było to trochę dziwne, bo jak można mieć samochód za przyjaciela?

Przyszło mu na myśl, że mógłby narysować ciocię Alicję albo wujka Marka. Mieszkał już z nimi prawie dwa lata i poznał ich – a nawet polubił – niemal tak bardzo jak mamę, ale nie miał pewności, czy można było uznać ich za przyjaciół. Poza tym ciocia nosiła włosy zaplecione w dużo warkoczyków, które sterczały we wszystkie strony, a wujek miał krótką brodę z wymyślnym wzorkiem. Juliuszek czuł w głębi ducha, że nie posiada aż tak wielkich umiejętności, żeby narysować to wszystko jak należy. Gdyby nie sprostął temu wyzwaniu, wujostwo mogłoby się nawet obrazić.

Widząc, że Juliuszek siedzi nad pustą kartką ze strapioną miną i coraz częściej wzdycha, pani podeszła do niego.

– Co się stało? – zapytała cicho, tak że tylko on usłyszał. – Czy zadanie sprawia ci trudności?

– Nie wiem, co narysować – przyznał się ze skrucą Juliuszek. Pani była zawsze miła i wyrozumiała. Nie chciał niczego przed nią ukrywać. – Nie mam przyjaciela – dodał wyjaśniająco, obawiając się trochę, żeby nie posądziła go o brak chęci do zrobienia tego, o co prosiła. Miał nadzieję, że się nie pogniewa. Ciocia czasem gniewała się, kiedy z taką samą szczerością mówił, że nie chce mu się sprzątać klocków Lego po zabawie. Ale to nie była chyba jego wina, że zazwyczaj był taką zabawą już bardzo zmęczony. Nie da się przecież sprzątać i ziewać w tym samym czasie, prawda?

Ale pani wcale się nie pogniewała. A nawet uśmiechnęła się do niego szeroko. Jest naprawdę bardzo miła – pomyślał Juliuszek. – I ma ładne zielone oczy. Prawie tak ładne, jak chabrowe oczy mamy.

– To nic złego – powiedziała. – A nawet zdradzę ci w tajemnicy, że wcale nie jest łatwo znaleźć prawdziwego przyjaciela. Nawet dorośli czasem mają z tym problemy.

Po tych słowach Juliuszkowi zrobiło się trochę lżej na sercu. Skoro nawet dorośli nie potrafili sobie z tym poradzić...

– Dlaczego to takie trudne? – Chłopiec zawsze lubił wszystko wiedzieć dokładnie.

– Czasem zdarza się, że ktoś, kogo uważamy za przyjaciela, wcale się potem nim nie okazuje – wyjaśniła pani.

– Czyli udaje?

Pani uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Chyba nie miała nic przeciwko temu, że zadawał jej pytania. Juliuszek wiedział z doświadczenia, że nie wszyscy dorośli to lubią.

– Może być i tak, owszem. Innym razem ktoś odchodzi i już nie wraca.

– Na przykład, kiedy umiera?

– Kiedy zapomina o nas. Ktoś taki nie jest prawdziwym przyjacielem. Czyli takim na zawsze.

Często nie da się tego rozpoznać na pierwszy rzut oka. Wielu ludzi nie ma czasu na przyjaciół, ponieważ są zbyt zajęci. Jeszcze inni szukają tylko kogoś, kto będzie im coś dawał, nie oferując

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

nic w zamian. Takich przyjaciół należy się wystrzegać.

Pani naprawdę dużo wiedziała. Juliuszek słuchał uważnie, chcąc to wszystko zapamiętać. Oczywiście, znowu zapomniał zamknąć przy tym buzię.

– Nie martw się. Mam pomysł, co z tym zrobimy – powiedziała pani. Juliuszek spojrzał na nią z odrobiną nieufności. Wiedział już, że pomysły dorosłych czasem okazywały się dziwne. Jak wtedy, gdy wujek zostawił w autobusie rękawiczki i ciocia, zamiast kupić mu nowe, zrobiła je na drutach. Wujek narzekał potem, że bardzo gryzą, i mruczał pod nosem: Ale sobie dziwactwo wymyśliła. Że też musiała się tego nauczyć.

Lecz pomysł pani, jak się okazało, wcale nie był najgorszy. A nawet musiał przyznać, że zasługiwał na miano świetnego.

– Teraz namaluj to, co chcesz, Juliuszku. Ale zastanów się potem na spokojnie, jakiego chciałbyś mieć przyjaciela, czyli po prostu spróbuj go sobie wyobrazić, i narysujes go na następnych zajęciach. Co ty na to?

I jak tu się nie cieszyć? Skoro mógł sobie wyobrazić przyjaciela, w dodatku na spokojnie – wujostwo mówili bez stresu – i bez haniebnego ściągania, to kłopot przestał być kłopotem i stał się czystą przyjemnością.

Juliuszek wracał do domu w bardzo dobrym humorze. A przy obiedzie nawet nucił sobie pod nosem, co niezmiernie zdziwiło wujka i ciocię, którzy byli zdecydowanie mniej entuzjastyczni. Chłopiec nie przejmował się tym zbyt. Zauważył już wcześniej, że oni często tak miewali w poniedziałki. Przechodziło im najpóźniej do czwartku. Nie zważając na ich osowiałość, przystąpił do relacjonowania wszystkiego, co wydarzyło się na zajęciach. Od samiotkiego początku, czyli od kiwnięcia palcem.

– Zaraz, zaraz – przerwała ciocia Alicja w połowie opowieści. – Rozumiem już, że coś trzeba narysować. I że nie chcesz wyobrażać sobie wozów strażackich. Ale chyba za bardzo kręcisz. Same dygresje, mój drogi. Co ma piernik do wiatraka... to znaczy, co ma do tego wszystkiego jamnik, który wygląda jak balon?

– To nic nowego u Juliuszka – uśmiechnął się wujek nad zupą. – On jest przecież specjalistą od dygresji.

Chłopiec nie rozumiał jeszcze do końca, co znaczą dygresje. Wiedział tylko, że wujek często o nich mówił, gdy słuchał Juliuszka, i nawet kiedyś próbował mu wyjaśnić to dorosłe słowo, ale chyba było jeszcze za bardzo skomplikowane. Na szczęście wujek przyspieszył relację.

– Powiedz jeszcze raz, w jednym zdaniu, co masz sobie wyobrazić i narysować?

– Przyjaciela.

– A, od razu trzeba było tak mówić! No to do dzieła, wymyślaj. A ja tymczasem poproszę, ślicznie i ładnie, wszystkie siły wyższe, żeby moim przyjacielem było dzisiaj słońeczko. Przynajmniej do dziewiętnastej.

I wujek poszedł na werandę malować obraz (który zaczął już w sobotę), korzystając z całkiem dobrego jeszcze, popołudniowego światła. Ciocia urządziła się w kuchni i utknęła przy telefonie z koleżanką. Co oznaczało, że nie będzie zwracać na nic uwagi, dopóki nie omówią wszystkich swoich ważnych spraw. To również mogło spokojnie potrwać do dziewiętnastej. Jak nie dłużej. Juliuszek miał więc sporo czasu, by zastanowić się na spokojnie.

Nawet nie pomyślał dzisiaj o klockach Lego. Ani też nie zamierzał zwracać wujostwu głowy o włączenie telewizora. Zamiast tego wybrał się do ogrodu.

W ogrodzie zawsze działały się fajne rzeczy. A czasem można było nawet znaleźć jakąś pyszną Niesamowitość. Pyszną w sensie nie do jedzenia, tylko do wspaniałej zabawy.

Na przykład takie mrówki. Niby najwyczejniejsza na świecie Zwyczajność, ale wystarczyło im się dłużej przyrzeć, by stwierdzić, że miały mnóstwo do opowiedzenia. Każda z nich chodziła własną drogą, niosąc różne rzeczy na plecach, a czasem zatrzymując się, żeby zamienić z

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

innymi kilka słów albo macnąć czułkami. Juliuszek lubił sobie wyobrażać, co mówiły. Nie raz i nie dwa zdarzyło mu się kucnąć, podsłuchując mrówki tak długo, że drętwiały nogi. Ciocia Alicja mówiła wtedy, że sam nabawił się mrówek – czyli takich śmiesznych, gryzących ciarek – w łydkach i stopach.

Właśnie od sprawdzenia, co też porabiają dzisiaj, Juliuszek rozpoczął wyobrażanie sobie przyjaciela. Zeszło mu na tym, jak zwykle, sporo czasu. Nic sensownego przy tym nie wymyślił. Potem jednak wpadł na pomysł.

– Hej, mrówki! – powiedział zachęcająco do zaaferowanych swoimi wędrówkami owadów. – Może wy chcielibyście zostać moimi przyjaciółmi?

Nie miał co prawda wielkich nadziei, że mu odpowiedzą, ale mimo to zdecydował się zapytać. Przecież kto pyta, nie błądzi, prawda? A nuż któraś z nich podniesie główkę i wyrazi chęć zawarcia przyjaźni? Jak się jednak spodziewał, mrówki były zbyt zajęte i nie zwróciły uwagi na jego wyjątkową propozycję.

Może są za małe, żeby rozumieć? – przyszło mu do głowy. – Mój głos musi im się wydawać jakimś potężnym grzmotem.

Nieco bardziej już ośmielony, w końcu za samo zadanie pytania nikt mu głowy nie urwie, Juliuszek podniósł się i rozejrzał po ogrodzie w poszukiwaniu jakiegoś innego kandydata na przyjaciela. Najlepiej trochę większego.

Chyba mam szczęście – pomyślał, gdy zauważył wygrzewającego się na ogrodzeniu czarnego kocura sąsiadów. – Wąsacz lubi się przecież przymilać i mruczy przy tym głośno. Wujek Marek mówi, że koty mruczą, kiedy chcą zwrócić na siebie uwagę. A to znaczy, że są przyjacielskie. Pobiegnął zatem do ogrodzenia i zadarł głowę w stronę Wąsacza.

– Kotku, może ty byś chciał zostać moim przyjacielem?

Wąsacz otworzył jedno oko i tylną nim na Juliuszka.

– A przyniosłeś mi coś do jedzenia? – mruknął, i to wcale nie po przyjacielsku.

– Nie... – wyznał chłopiec.

– To pogadamy, gdy przyniesiesz. A teraz nie przeszkadzaj mi w drzemce. Chcę skorzystać z ładnej pogody i ciepłego słońca.

Juliuszek opuścił głowę. Tym razem było już tak blisko. A to pech!

Naprawdę trochę się zmartwił odmową Wąsacza. Ale potem coś mu się przypomniało. Pani mówiła przecież podobnie... O takich, którzy są zbyt zajęci, by mieć czas na przyjaźń. I o takich, którzy szukają w niej tylko korzyści dla siebie.

– To rzeczywiście trudna sprawa – westchnął Juliuszek. – Nic dziwnego, że nawet dorośli mają z tym problemy. Ciekawe, jak to jest z ciocią i wujkiem?

Poszedł do domu sprawdzić, co robią wujek i ciocia oraz ewentualnie ich o to zapytać. Zawrócił jednak niebawem, bo wujek dalej zawzięcie malował, nie zwracając nawet uwagi, że stygnie mu kawa, a ciocia dalej udzielała się przez telefon, z kolei w ogóle nie zauważając, że zamiast kawy zrobiła wujkowi miętę. Po drodze bez protestów chwycił ciastko, które ciocia, nie przerywając słuchania koleżanki, wetknęła mu do ręki, mrużąc: Zjedz jabłko, kochanie, to same witaminy – i wrócił do ogrodu, tym razem z zamiarem odwiedzenia różnokolorowych bratków, które dorośli (całkiem niedawno, na początku czerwca) zasadzili w dużej prostokątnej doniczce, gdy tylko zrobiło się ciepło.

– A wy macie przyjaciela? – zapytał Juliuszek ostrożnie. Kwiatki podniosły prześliczne kolorowe główki i popatrzyły na niego ze zdziwieniem.

– Ależ oczywiście, że mamy – zaszczebotały jeden przez drugiego. – Najlepszego na całym świecie!

– Kogo macie na myśli? – zaciekał się od razu.

– Jak to kogo? Naszym przyjacielem jest słońeczko!

– Słońeczko jest waszym przyjacielem? Przecież jest tak daleko! Nie możecie nawet ze sobą rozmawiać.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

– Słoneczko opiekuje się nami. Zsyła światło i ciepło, których potrzebujemy. I nie daje go ani za dużo, ani za mało. Zawsze w sam raz – wyjaśniły wdzięcznie bratki. – Po tym można poznać prawdziwego przyjaciela. On zawsze chce, żebyśmy byli szczęśliwi.

Juliuszek znów zadął głowę, tym razem wysoko, wysoko, aż do nieba. Słoneczko właśnie przekomarzało się z płynącą leniwie chmurką, ale mógłby przysiąc, że mrugnęło do niego. Uśmiechnął się w odpowiedzi. To chyba bardzo spodobało się słoneczku, ponieważ skończyło rozmowę z chmurką, która odpłynęła w dalszą drogę, i też się uśmiechnęło. A ono umiało się ślicznie uśmiechać – tak wesoło, ciepło i promiennie.

– Czego sobie życzysz, chłopczyku?

Juliuszek aż musiał odwrócić oczy od tego jasnego uśmiechu, ale odpowiedział zaraz – tak grzecznie, jak tylko umiał:

– Szukam przyjaciela. Najlepiej prawdziwego przyjaciela.

– I chciałbyś, żebym ci w tym pomogło?

– Ja chciałbym... chciałbym, żebyś to ty nim było.

Słoneczko aż pokraśniało z radości i nawet jakby przysunęło się bliżej do Juliuszka.

– Ja też bym bardzo chciało...

– Kolacja! – zawołała z domu ciocia Alicja, która przypomniała sobie, że powoli nadchodzi wieczór.

– Niech tak będzie! – Słoneczko uśmiechnęło się radośnie i Juliuszek odetchnął z ulgą. Zdążył znaleźć przyjaciela – i to jeszcze przed dziewiętnastą.

Następnego ranka Juliuszek nie mógł się doczekać ponownego spotkania ze swoim nowym przyjacielem, dlatego ubrał się szybko – i w dodatku zupełnie sam. Ciocia Alicja aż nie mogła się temu cudowi nadziwić.

Ale, ale... słoneczka nie było! Zamiast niego po niebie powoli i ślamazarnie przesuwali się czarne chmurzyska, które wyglądały tak, jakby gniewały się na wszystkich dookoła.

– Będzie chyba padać – powiedział wujek Marek i zawrócił po parasol.

Może obraziło się na mnie, że się nie pożegnałem? – zastanawiał się Juliuszek przez całą pierwszą lekcję. – A może tylko udawało, że chce być moim przyjacielem? Pani mówiła przecież, że i to się czasem zdarza. Nawet dorosłym.

Wielkie naburmuszone chmury w końcu usunęły się, rozżalone chyba na coś, bo sporo popłakały tego przedpołudnia. I kiedy Juliuszek spojrzął znów na niebo przez okno sali na parterze, jak myślicie, kogo tam zobaczył?

Oczywiście! Swojego przyjaciela – słoneczko.

Pamiętaj, Juliuszku – usłyszał. – Prawdziwi przyjaciele, nawet jeśli muszą czasem odejść na chwilkę, dłuższą lub krótszą, zawsze wracają.

I dokładnie to samo chłopiec powiedział potem pani wychowawczyni, pokazując jej namalowane przez siebie przepiękne, ogromne słoneczko. Do obrazka użył kolorów, o których opowiadała mu mama: miodowego, miedzianego i ochry. Nie tylko chabrowy jest ładnym kolorem – pomyślał.

Chociaż nadal uważał, że najładniejszym.

I to też powiedział pani. Dlatego, bo uznał, że pani można naprawdę wszystko powiedzieć.

– Ej – zagadnął go Jareczek pod koniec lekcji, wyrzucając niedbale swój rysunek wozu strażackiego do kosza na śmieci. – Dlaczego narysowałeś słońce? Zaprzyjaźniłeś się z nim, czy co?

– Właśnie – odpowiedział dumnie Juliuszek. Takiego fajnego przyjaciela nie sposób przecież było się wstydzić.

– A jak to zrobiłeś?

– Rozmawiałem z nim – uśmiechnął się chłopiec.

– Niesamowite! Serio? – Jareczek wytrzeszczył oczy.

– Pewnie, że niesamowite. Takie właśnie są Niesamowitości. A wystarczy do nich tylko trochę wyobraźni.

<http://www.cowbajkachpiszczy.pl/>

I była to najprawdziwsza prawda.

---

Strona: 7/7